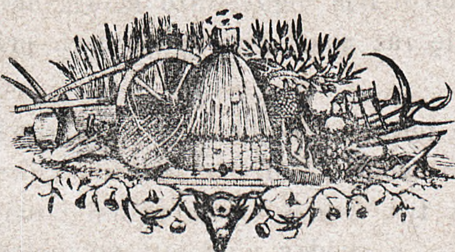
Tom XV.  Nr. 17.

11. grudnia 1866.

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.



Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Nauka to środek prawy: Do zaszczytu i do sławy!

Król polski Stefan Batory, kiedy odwiedzał jaką szkołę a widział w niej jakiego ubogiego szkolarza, co się uczył pilnie, zwykł mu był tak mówić: „Ucz się chłopcze pilnie, a zrobię z ciebie Mościpana!" — co miało oznaczać, że choćby niebył ani z wysokiego rodu ani z bogatego domu, to przez pilność i naukę wyjdzie na pana i szanownego obywatela. Za dawnych bardzo czasów, bo jeszcze przed narodzeniem Chrystusa był we Włoszech wielki, potężny i bardzo mądry naród, Rzymianie, a ci Rzymianie mieli takie przysłowie: „Każdy człowiek jest kowalem swego własnego szczęścia," co miało oznaczać, że każdy może własnem staraniem zapewnić sobie i mienie i dolę.

W słowach tych zawiera się święta prawda a tysiące przykładów na świecie pouczają nas, że nikomu, nawet najuboższemu nie jest zamkniętą droga do sławy i szczęścia, skoro tylko ma wolę i zdolności po temu. My sami już wam mnóstwo takich przykładów opowiedzieliśmy, pisząc wam o ludziach,

co w chacie nędznej urodzeni, zasłynęli dostojeństwami, zasługami i sławą w narodzie. Dziś znowu w tej samej sprawie wam piszemy, bo o tem nigdy dużo mówić nie zawadzi, a to dla tego, aby się raz nasi ludzie po wsiach przekonali, co to może nauka.

Wiecie, że teraz sejm obraduje we Lwowie i że do tego sejmu kraj cały wybierał ludzi takich, do których miał zaufanie. Są więc w tym sejmie co najmędrsi i najzacniejsi ludzie z kraju całego — a między nimi jest także jeden pan z Krakowa, uczony i zacny, a sławny na kraj cały. Ten poseł nazywa się Mikołaj Żyblikiewicz, a ma on u największych panów wielkie zachowanie, a co więcej jeszcze znaczy, w całym kraju imię jego bardzo jest szanowane. Spytajcie się jeno kogoś z waszych, co jest posłem na sejmie, o pana Żyblikiewicza, a rozpowie wam najlepiej, jaki to uczciwy człowiek i jak to on na sejmie radzi mądrze i gorliwie dla dobra kraju. Otoż widzicie, ten pan poseł Mikołaj Żyblikiewicz wszystkie swe zaszczyty i swoją sławę zawdzięcza tylko własnej pracy i nauce.

Urodził się on w Staremmieście, małej mieścinie pod Samborem, a rodzice jego byli ubodzy mieszczanie, a wiecie że w małych miastach mieszczanie tacy są biedni i tak pracować muszą, jak wieśniak na roli. W Staremmieście jest szkółka mała, więc do tej szkółki dali Żyblikiewicze swego syna Mikołaja. Chłopak się uczył pilnie i przepadał prawie za książką, a gdy skończył trzy klasy w Staremmieście, prosił rodziców okrutnie, aby go dali do Sambora do wyższych klas.

Rodzice niemieli z czego nań łożyć, ale on przyrzekł, że będzie byle czem żył, byle jeno mógł się uczyć i kierować na człowieka. Dali go tedy rodzice do Sambora, a on tam o kawałku chleba uczył się lepiej niż bogaci panicze. Niebawem też, aby nie być ciężarem rodzicom ubogim, począł się Mikołaj sam utrzymywać, uczył innych młodszych szkolarzy i tym sposobem zarabiał na życie.

Tak szedł z klasy do klasy, zawsze pilny i pracowity, a gdy skończył szkoły łacińskie w Samborze, pojechał do Lwowa i zawsze utrzymując się z własnej pracy ukończył najwyższe

nauki i został potem profesorem. Później zaś przeniósł się do Krakowa i tu został adwokatem i szanowanym obywatelem, a dziś jest sławnym człowiekiem w całym kraju.

Rodzice jego już nie żyją, ale ma siostry i krewnych, więc do tych sióstr przyjeżdża on często do Staregomiasta i mieszka w ich ubogim domku i odwidza wszystkich mieszczan jak brat i przyjaciel, bo jako człowiek mądry i zacny nie wstydzi się swego pochodzenia. Krewnych swych dziś hojnie wspiera, a jednego z nich także z ubożuchnego chłopięcia wykierował już na adwokata.

Pan Żyblikiewicz dał też przykład najlepszy, jak to i najubożsi rodzice powinni posełać na naukę swe dzieci i nie żałować grosza na książki i szkołę. To też w Staremmieście każdy, najuboższy nawet mieszczanin, co ma zaledwie chatkę i kawałek gruntu i jakie takie umie rzemiosło, poseła swoje dzieci do szkoły, a gdy które z nich pokaże ochotę i zdolności, to się ściąga na ostatnie i poseła do Sambora. Więc też niema może drugiego miasteczka w kraju, któreby się mogło poszczycić, że z niego wyszło tyle księży, profesorów i urzędników, co z Staregomiasta. A jak wam powiedziałem, mieszczanie tamtejsi nie są bogatsi od wieśniaków, a nie jeden może uboższy nawet.

Dziś niema już na świecie różnicy stanów, czy stan chłopski czy pański, to zarówno dobry — a urodzenie szlacheckie nic nie znaczy, jeno nauka i zasługa. To też głupie to są słowa, kiedy z was który mówi: „Ja chłop, na co memu dziecku sią uczyć“ — bo dziś i chłopskiemu dziecku świat stoi otworem. Pamiętajcie na to i nie zagradzajcie losu waszym własnym dziatkom.

Dziś już w każdej prawie wiosce jest szkoła, więc posełajcie synów swych do niej pilnie, a gdy który z nich okaże dobrą głowę i większe zdolności, niechaj się uczy dalej a ci, co już nie mają takich zdolności, niech zostaną przy gruncie. A nawet i przy roli dziś bez nauki twardo idzie — bo cały świat dąży ku oświacie!

Xiądz A....

Pan Bóg w gościnie.

Legenda.

Kmieć jeden stary dawnemi laty,
Chciwy i skąpy, chociaż bogaty,
Orał swe pole z młodym najmytem,
Chcąc je pszenicą zasiać, czy żytem,
A kiedy słonko, co ich zbudziło
Rankiem do pracy, w górę się wzbiło,
Zmęczone woły na ścierń powiedli,
I do obiadu sami usiedli.

Aliści Pan Bóg w ciele żebraka,
Żeby doświadczyć serce wieśniaka,
Zbliża się do nich i w imię nieba,
Wyciąga rękę o kawał chleba.
— Niech ci da Pan Bóg, ruszaj człowiecze!
Bo my nie mamy — gospodarz rzecze....
I starzec odszedł, lecz najmyt młody,
Spędzając niby woły do wody,
Dopadł żebraka i w imię Boga
Wsunął mu w torbę kawał pieroga.

Za to mu Pan Bóg pobłogosławił,
I w nieprzebranej dobroci sprawił,
Że on sierota bez ojca, matki,
Pracą a prawdą zebrał dostatki
Lecz choć zamożnym był gospodarzem,
Zawsze się chętnie dzielił z nędzarzem,
I w każde święto do jego stoła,
Wdowy, sieroty, z całego sioła,
Szli po okrajec sera i chleba,
Śląc zań błagalne modły do nieba.

Raz gdy z kościoła do domu wrócił,
Tak go żal ścisnął — tak go zasmucił,
Że niemógł z biednych znaleźć nikogo,
By z nim podzielił strawę ubogą,
I rzekł do żony, co z nim wróciła,
I jak zwyczajnie stół zastawiła;
— Nie, ja nie siądę dzisiaj do stołu,
Czyż nikt z łaknących z nami pospołu

Ten przenajświętszy dar nie podzieli?...
Czemże uczcimy święto niedzieli?...
Zabierz te miski, ja pójdę drogą,
Może gdzie wdowę spotkam ubogą,
Albo sierotę, albo nędzarza,
Dobry uczynek smaku przysparza.

I wyszedł z chaty i pośród drogi
Zaszedł mu w oczy ten sam ubogi;
Którego w on czas, by dziad nie swarzył,
Kawałkiem ciasta skrycie obdarzył....
A był to Pan Bóg w ciele żebraka,
Co chciał doświadczyć serce wieśniaka.

Obadwaj siebie poznali wzajem,
I dobry człowiek swoim zwyczajem,
Przyzwał na skromną starca biesiadę,
Twarz miał wesołą i serce rade,
Że się z łaknącym chlebem podzieli,
Że może uczcić święto niedzieli!

A gdy nazajutrz swoim zwyczajem,
Wieśniak wypuszczać nie chce żebraka,
Żebrak natomiast prosi wieśniaka,
Żeby go zechciał odwiedzić wzajem.
Darmo gospodarz tem się odprasza,
Że niema czasu, że w polu pasza,
Więc pomodliwszy się przed obrazem,
Co strzegł spokojnych ścian jego chatki,
I pożegnawszy żonę i dziatki,
Poszedł powoli ze starcem razem.

Idą a idą przez lasy, góry,
Nad nimi słońce, nad nimi chmury,
Nad nimi mgły się unoszą nizko....
Idą aż widzą, że czarne psisko,
Pod rozczepionym przykute dębem,
Gryzie swój łańcuch i skórę jeży,
A przed nim chleba krumeczka leży,
Pies rwąc się, chciałby chwycić chleb zębem,
Ale go nigdy dostać nie może,
A tylko głośno po całym borze,
Wyciem, szczekaniem, jak dzwonem bije,
I własną pianę z wściekłości pije!

Nasz wieśniak pyta co to się znaczy,
A żebrak tak mu cud ten tłumaczy:

— To twój gospodarz, co za żywota,
Choć mu dorocznie w skrzyni i brogi
Słałem dostatek — zamykał wrota,
Skoro przed niemi stawał ubogi.
I mnie samego z niczem odprawił,
Gdym mu w postaci starca się zjawił,
I jako widzisz, przez całe życie,
Raz tylko jeden zgłodniałe dziecię
Nakarmił małą kromeczką chleba,
Ale i tego wnet pożałował....
Żaden więc dobry czyn nie przodkował,
Przed jego duszą w drodze do nieba,
Za to po śmierci w psa przemieniony,
Pragnieniem, głodem wiecznym dręczony,
Musi przed ową krómeczką chleba,
Wszystkie swe ciężkie grzechy odszczekać,
I strasznej sądu godziny czekać!...
A ty człowiecze żeś się odważył
Mimo zakazu dać mi był chleba,
Za tom cię szczęściem na ziemi darzył,
Za to twą duszę wiodę do nieba!...

I poszli dalej, w sercu wieśniaka,
Była cześć wielka i wielka trwoga,
Widząc w postaci skromnej żebraka,
Wiekuistego wcielenie Boga....

Idą i idą aż po dolinie,
Srebrzysto krwawa rzeczułka płynie,
A chociaż wieśniak mimo zdziwienia,
Nieśmiał nic pytać, gdy ją zobaczył,
Lecz przenajświętszy Ojciec stworzenia,
Takiemi słowy cud wytłumaczył:
— Widzisz tę rzeczkę dobry człowiecze,
Co krwią i łzami od wieków ciecze,
Tak właśnie, kogo w ciągu żywota,
Przedemną swemi oskarży łzami
Choć jeden nędzarz albo sierota,
Albo zwiedziona zdradnie dziewica,
Będzie mu z duszy lać się oczami,
Przez całą wieczność ludzka krwawica....

Idą, aż w koło wszystko się zmienia,
Kończy się ziemia, kończy się droga,
Pan Bóg w niebieskie wwiódł go sklepienia,
Gdzie Bóg go przyjął, tak jak on Boga!

Jan Prusinowski.

Maciej Sierota.

Gadka prawdziwa.

Było to przed dziewiętnastu laty, kiedy straszny głód panował w naszej krainie, i z tego wylęgły się okropne choroby i pomory — jakby kara Boża za ludzkie grzechy. Chaty się wypróżniały, jednych wynoszono na cmentarz, drudzy za chlebem poszli między ludzi.

Klęska dotknęła i Wojciecha, majętnego gospodarza we wsi Dąbrowie. Co tylko pochował swoją żonę, sam zasłabł śmiertelnie — i ksiądz z Panem Bogiem przyszedł, by przygotować go do drogi, z której się nikt nie wraca.

Wojciechowi żal było umierać, miał dobrą rolę, sześć wołów, cztery krowy, oprócz drobiazgu — a najwięcej żal mu było dwóch synków, Maciusia i Szymonka — oba byli jeszcze mali, Maciej miał lat dwanaście a Szymonek ośm.

Kazał wyjąć ze skrzyni pieniądze, które uskładał sobie przez całe życie i dał w obec księdza sąsiadowi Jakóbowi Sękatemu, by to było na pogrzeb jego, a dzieciom zostawia całe gospodarstwo, poruczając je wraz z dziećmi jego opiece — co też Jakób przyjął, i obiecał jak najsumienniej opiekować się nad małemi dziećmi i gospodarstwem.

Ksiądz wyszedł prędko, bo jeszcze kilka osób miał do opatrzenia Panem Bogiem.

Za parę godzin po wyjściu księdza Wojciech skonał.

Sąsiad zajął się zaraz przygotowaniem do pogrzebu — i za dwa dni pogrzeb się odbył dosyć suto, Jakób wyprawił ogromną stypę, bo go to nic nie kosztowało, zabrakło pieniędzy, ale w stajni była chudoba, której kilka sztuk poszło do żyda — byle tylko było co pić. Pito przez kilka dni z żałości za go-

spodarzem Wojciechem, kosztem sierót pozostałych — resztę co pozostało w chacie i stajni zabrał Jakób do siebie, mówiąc że w domu lepiej przypilnuje, by ludzie nie zabrali.

I chata została pustą, bo sieroty małe w pustej chacie nie miały co robić — z początku znalazły przytułek u swego opiekuna Jakóba Sękatego, lecz to długo nie trwało, bo zaledwie rok jaki, a później już były mu na zawadzie, bił, wyganiał z domu, mówiąc, że za darmo nie będzie je żywił, choć zboża wziął sporo po nieboszczyku.

Do chaty zaglądał tylko stare psisko, poszczekując i wyjąc, to znowu wybiegał za chłopakami i lizał je po rękach, jakby żałował się nad niemi.

Sieroty nie wiedziały gdzie się podzieć, bo Jakób już nie chciał im dawać jeść ani w chacie nocować — biedne, w pustej chacie razem z psem na gołej ziemi musiały spędzać noce a w dzień chodzić między ludzi prosić o kawałek chleba.

Starszemu się to już sprzykrzyło — wolał nic nie jeść niż chodzić po prośbie. Pewnego razu umówił się z bratem do ucieczki, i już się wybierali w drogę, ale na nieszczęście opiekun spostrzegł to, wykrzyczał, wybił i zamknął w pustej chacie — i z chaty słychać było płacz dzieci wraz z szczekaniem i wyciem psa. Widać psisko miało lepsze serce od opiekuna.

I byliby z głodu poumierali w zamkniętej chacie, gdyby starszemu nie przyszło na myśl oknem wyskoczyć, wysadzając i brata, a za niemi i pies wyskoczył jakby stróż małych sierót. Starszy namawiał wciąż młodszego do ucieczki, który się bał ogromnie opiekuna i nie chciał uciekać.

— Ja nie pójdę — mówił Szymonek do Macieja — bo teraz toby nas pozabijał, jakby nas złapał.

A starszy mu na to:

— To ja sam pójdę, a tak może lepiej o ciebie będzie dbał, żebyś i ty nie uciekł, a ja jak co zarobię i dobrze mi będzie, to po ciebie przyjdę.

Młodszy przystał na to i rozstanie prędko nastąpiło — ucałowali się i pożegnali bracia.

Nadszedł opiekun, a widząc że starszego niema, zaczął się mścić nad młodszym, czemu on nie dał znać że Maciuś

ucieka. Wybiwszy Szymonka, poszedł do karczmy pić dalej nie dawszy nic jeść Szymonkowi — biedny sierota nie śmiał iść między ludzi, bo się bał i nikt nie miał co dawać i nie chciał, bo wszędzie mówiono:

— Idź do swego opiekuna, on zabrał całe gospodarstwo, to powinien o ciebie dbać.

Czasami we dworze pożywiono sierotkę, lecz do dworu było daleko i bał się tam chodzić, bo we dworze były ogromne psiska, przed któremi nie mógł go obronić nawet jego stróż; do tego śnieg mocny zasypał ścieżkę, tak, że mały sierotka nie mógł się tam dostać.

I wrócił się do pustej chaty, ale na nieszczęście opiekun przyszedł wtedy jak go nie było, pozamykał wszystkie drzwi tak, że się nie mógł do wnętrza dostać, by choć od zimna się uchronić, do okna było mu za wysoko — usiadł więc sobie na progu własnej chaty. Poszedł jeszcze do opiekuna Jakóba Sękatego, prosząc, żeby mu dał co zjeść, który go obił i wygnał — sierota płacząc wrócił do pustej chaty i siadł napowrót na progu skuliwszy się we dwoje, drząc od zimna — a pies przytulał się do niego jakby chciał go ogrzewać.

W nocy mróz zastał sierotkę Szymonka na progu skulonego i tam go zamroził — rano już nie żył.

Gdy ludzie spostrzegli trupa, dali znać Jakóbowi Sękatemu, który nawet nie chciał iść popatrzeć, tylko co prędzej poszedł do księdza, by grób pokropić i pozbyć się z oczu sieroty, któraby się kiedyś mogła upominać o ojcowskie mienie, teraz już do niego należące. Trumienkę małą z czterech deseczek kazał zrobić i zaniósł na cmentarz, ksiądz przyszedł, pokropił i wrzucono Szymonka do grobu.

Maciusiowi poszło dosyć szczęśliwie, choć z początku musiał biedować nim znalazł służbę — przeszedł dziesięć wsi nim w jedenastej trafiło mu się, że go we dworze przyjęli.

Na szczęście pan, pani i panienka byli bardzo dobrzy. Pani kazała go obmyć, dać czystą bieliznę i przyodziewkę, i z początku był przy kuchni, a jak nabrał trochę zręczności to dano go do kredensu — był ciekawy i posłuszny i miał także chęć do nauki, więc go lubiono i panienka zaczęła go

uczyć czytać i pisać — i za dwa lata umiał i jedno i drugie. Gdy podrósł, był za furmana, a jak potrzeba było, to i w polu pracował; nie będąc leniwym, nauczył się orać i siać, kosić i młócić — a wszystko z chęcią robił. A że nie wiedział jakie jego przezwisko, więc go nazwali Maciej Sierota.

We dworze służyła Kasia, którą Maciej polubił, bo była pracowita, porządna, do tego dosyć ładna, a i ona miała się ku Maciejowi.

Raz w lecie przy żniwie wyprzedzili wszystkich żeńców. Kasia wciąż spiewała, a i teraz zanuciła smutną piosnkę:

Biednaż moja biedo,
Jak cię przebiedować,
Ani mam co jeść,
Ani w czem gotować.

Sama jedna w świecie,
Ni ojca, ni matki,
Ni siostry, ni brata,
Ani własnej chatki.

Matuś moja matuś,
Tyś mnie tak pieściła,
A teraz na zawsze
Samąś porzuciła.

Ojca w dół wrzucili,
Ziemią przysypali,
A biedną sierotę
Z chaty mię wygnali.

Było dosyć chleba,
I bogata rola,
A mnie pozostała
Ciężka tylko dola.

Maciejowi łzy ciórkiem się polały i zaczął mówić:

— Przestań Kasiu, bo mi serce pęknie, i powiedz mi, kto cię nauczył tę piosnkę?

— Ludzie — ale dla czegoż ty zapłakany? Może cię piosnka rozczuliła, to już więcej nie będę tak spiewać.

— Dobrze żeś zaspiewała, bom sobie przypomniał, żem miał matkę i ojca co mi pomarli, i brata mam, ale nie wiem czy żyje — a i chata była i rola i chudoba, wszystko to pewno ludzie zabrali. Przyszło do pogadanki, a Maciej który kochał Kasię oświadczył jej, że się z nią chętnie ożeni. Dziewczę zawstydzone przystało, i tak było już po zmówinach.

Po dożynku poszli oboje do państwa, u których służyli, oświadczyć swoją wolę, na co chętnie im zezwolono, i pan nawet chciał mu dać rolę, by pozostał w tej wsi, lecz on podziękował za to, bo miał swoją rolę, którą kochał całem

sercem, gdzie jego ojcowie żyli i umarli i on tam się urodził, więc i tam żyć i umrzeć pragnął.

Państwo nie robili żadnych trudności, ale owszem sprawili im sute weselisko, i pan obiecał dać mu na zagospodarowanie zboża i co z chudoby.

Po weselu poszedł zaraz Maciej do swojej rodzinnej wsi, by odebrać całe gospodarstwo i usiąść na ojców grzędzie.

Wchodząc do wsi, szedł najpierw na cmentarz, by pomodlić się na grobie rodziców. Przed kościołem spotkał dziada, który wyciągał doń rękę prosząc o jałmużnę. Maciej wyjął z kalety dwa grajcary i dał mu, żeby zmówił pacierz za duszę Wojciecha i Maryny. Dziad się jakoś dziwnie popatrzył na dającego. Lecz Maciej zatrzymał się przed dziadem i zapytał:

— Nie znacie wy dziaduniu tu we wsi gospodarza Jakóba Sękatego?

Dziad wybałuszył oczy i odpowiedział po chwili milczenia:

— Znam.

— A czy znaliście gospodarza Wojciecha?

— Znałem ich oboje — dawno już pomarli.

— A Szymonek żyje?

— Umarł dawno, a starszy gdzieś także w świecie zginął.

Maciejowi łzy w oczach stanęły.

— A chata, rola i chudoba czy jest jeszcze jaka?

Dziad się jakoś dziwnie popatrzył i dreszcz przeszedł mu po skórze — wtem ksiądz nadszedł i Maciej zaraz udał się do niego, powiedziawszy mu kto on jest i po co przyszedł. Ksiądz mu powiedział, że wszystko Jakób przepił i rolę sprzedał za bezcen — i zaprowadził go na cmentarz koło kościoła, pokazawszy mu miejsce gdzie leży ojciec, matka i Szymonek, opowiedział mu że z głodu i zimna umarł brat.

Maciej klęknął i zmówił pacierz za dusze rodziców i brata, i wstał z zaciśniętą pięścią jakby do zemsty.

Wtem z boku pokazał się dziad. Ksiądz wskazał palcem Maciejowi.

— Oto ten jest wasz opiekun, co przepił wszystko i Szymonka zagłodził.

Maciej z zaciśniętą pięścią chciał się rzucić na dziada, lecz się zatrzymał, bo ochota zemsty odpadła, i mówił do księdza:

— Chciałem się zemścić na nim, lecz widzę że go Pan Bóg i tak pokarał.

— Oj pokarał go, bo jak przepuścił wasze mienie, tak i jego poszło, żona i dzieci poumierali mu z głodu — a on sam się włóczy po żebrach.

Ksiądz widząc, że Maciej jest człowiek do rzeczy, wziął go do siebie, uczęstował, a później poszli do teraźniejszego właściciela chaty i roli nieboszczyka Wojciecha, jakiegoś kolonisty, co nawet po polsku nie umiał, oświadczając mu, że to nieprawnie nabyta własność. Maciej powiedział mu:

— Nie chcę waszej krzywdy, dam wam tyle ileście wy dali i sami się najdalej za dwie niedziele wyprowadźcie, a jak nie zechcecie zgody, to idę skarżyć was i nic nie dostaniecie a będziecie musieli się wynieść z chaty i roli.

I kolonista rad nie rad musiał się zgodzić na podawane mu warunki, i za dwa tygodnie wyprowadził się z chaty i ze wsi.

Maciej z żoną się sprowadził i zaczął gospodarować, Pan Bóg mu szczęścił we wszystkiem. Zjednał sobie powagę w gromadzie i uchodził za mądrego, bo umiał czytać i pisać. Po niespełna roku gromada obrała go wójtem, ale on przyjmując tę godność postawił dwa warunki:

- Jeżeli gromada przystanie na to, by szkółkę małą wystawić i o profesora się postarać, by uczył dzieci — i drugi warunek, by obok wójta i przysiężnych gromada obierała sześciu opiekunów z najpoczciwszych ludzi, by w razie śmierci którego z gospodarzy, mieli opiekę nad sierotami i majątkiem, żeby opiekunowie co niedzielę się schodzili i radzili co i jak robić przy gospodarstwie osierociałem, tak, żeby i dzieci nie poszły w poniewierkę i dobytek nie rozpadł się marnie.

Gromada z chęcią przystała na to i zaraz wybrała sześciu najsumienniejszych i najpoczciwszych gospodarzy na opiekunów gromadzkich.

I Maciej Sierota, tak się już zawsze nazywał, nauczony swojem nieszczęściem, zapobiegł, by drugim coś podobnego się nie przytrafiło.

Od tego czasu jak który gospodarz umarł, to ci opiekunowie zaraz przychodzili, oglądali i pilnowali to, co pozostało po nieboszczyku, żeby źli ludzie nie zabrali, zajmowali się gospodarstwem, a jeżli bieda była w chacie, to i nieśli pomoc, bo łatwiej zawsze kilkom podratować jednego — a jak nie było czem orać, to zwoływali gospodarzy i wspólnie zorali, zasiali, później zkosili, zeżęli i wymłócili — a sieroty dziękowały Bogu za takich opiekunów.

Józef z Medyki.

Morze lodowate.

(Dokończenie.)

Powróćmy jeszcze do naszych holenderskich żeglarzy i wystawmy sobie, jak zdziwieni zostali widokiem Samojedów, z którymi tylko na migi mogli się porozumieć, i nie wiele się od nich mogli dowiedzieć.

Niezmiernie na siłach podupadli, wszyscy prawie szkorbutem dotknięci, zwątpili czy kiedykolwiek dostaną się do swoich. Szkorbut jest to straszna choroba! dziąsła się psują, zęby wypadają i cały człowiek w taką wpada niemoc, że się ruszyć nie może; a tu ruch koniecznie potrzebny, jako lekarstwo przeciw chorobie; kto się podda gnuśnemu odrętwieniu, umiera!

Pożegnawszy brudnych i głupowatych Samojedów, opuścili wyspę, kierując swe łodzie ku stronie południowo-zachodniej, w zamiarze dostania się do portowego miasta Kola, nad brzegiem Białego morza, gdzie mieli nadzieję spotkać jaki holenderski okręt i ujrzeć na nim drogich sercu ziomków swoich. Po kilku dniach żeglugi, zobaczyli płynącą ku sobie łódź rybacką z rozpiętemi żaglami. Kapitan przybliżył się do rybaków, chcąc się ich rozpytać o drogę, ale się wzajemnie zrozumieć nie mogli, i tylko na migi pokazując, to pieniądze, to beczkę z rybami, potrafili zakupić od nieznajomych owe ryby

i kilka bochenków chleba, aby się od głodnej śmierci uratować; dowiedzieli się także od nich, zawsze pokazując na migi, jak daleko znajdują się jeszcze od morza Białego, które jest częścią Lodowatego oceanu, jakby wielką zatoką w ląd zachodzącą. Na zachodniem wybrzeżu morza Białego mieszkają Lapończykowie podobni do Samojedów.

Dnia 18. sierpnia ujrzeli żeglarze sterczącą nad morzem górę zwaną przylądkiem Kanin, przy samem wejściu do morza Białego. Czekała ich tu ciężka przeprawa, bo wiatr dął gwałtowny, a morze było bardzo wzburzone, ale dla ludzi, którzy tyle złego wycierpieli, i z tylu niebezpieczeństw szczęśliwie wyszli, nie było już nic strasznego. Jakoż, w przeciągu 30tu godzin upłynęli przeszło 70 mil drogi i przybili do lądu. Znaleźli tam kilkanaście chat rybackich, zamieszkanych przez Lapończyków, którzy tu żyją w rozprószeniu, podobni do Samojedów z powierzchowności i z obyczajów.

Tak jak tamci, są żółto-brudnej cery, bo się nigdy nie myją, oczy mają czerwone i zaropiałe, od ustawicznego dymu, którym chaty ich są napełnione, podobne w tem do chałup wiejskich kurnemi chatami zwanych, jakie i u nas jeszcze widzieć można w niektórych okolicach. W takich chatach ognisko jest w środku izby a nad ogniskiem otwór w dachu, który służy za komin i za okno. Łatwo sobie wystawić, jak w takiej izbie wszystko zakopcone i uwędzone być musi.

Lapończycy nie znają ani rolnictwa, ani rzemiosla, ani fabryk; oprócz polowania i rybołowstwa, jedynem ich zatrudnieniem gospodarskiem jest hodowanie reniferów i dostarczanie im paszy. Ale i o to nie wiele mają kłopotu, bo renifer wyjadłszy w jednem miejscu trawy i mchy, idzie dalej szukać pokarmu i nikogo o pozwolenie nie pyta, a wtedy Lapończyk zabiera swoje manatki i wędruje za stadem.

Takie ludy, które żyją jedynie z trzód swoich, nie zajmują się ani uprawą ziemi, ani handlem, ani rzemiosłami, nie mają ani wiosek, ani miast, i przenoszą się z całym dobytkiem swoim z jednej okolicy w drugą, szukając paszy dla bydła, zowią się ludami koczowniczemi od wyrazu koczować czyli obozować, bo żyją jak w obozie pod namiotami i nie

mają stałej siedziby. Znajdują się i w ciepłych okolicach takie koczowniczę ludy, na wielkich stepach, okiem niezmierzonych, wysoką trawą zarosłych. Przybywszy np. rodzina z kilkudziesięciu osób złożona, prowadząca za sobą ogromne stada owiec, koni i bydła, rozbija swoje namioty i zajmuje tę ziemię w posiadłość, dopóki step trawą pokryty.

Ale wielka różnica zachodzi pomiędzy życiem ludów koczujących na stepach, bujną trawą zarosłych, w okolicach południowych, a życiem biednych Samojedów, Eskimosów, Lapończyków, Ostjaków i t. p., którzy na lodowatej ziemi, pod lodowatem niebem, w zadymionych chatach życie swoje pędzą. Te chaty Lapończyków tak są zbudowane, że łatwo je rozebrać i znowu złożyć; podobnież budują swo,e domy Sybiracy i także je z miejsca na miejsce przewożą; lecz zabudowania te różnią się co do kształtu, albowiem sybirskie domy podobne są do naszych chałup, ściany złożone są z okrąglaków z jednej strony wyżłobionych i zachodzących jeden w drugi; taka gruba drewniana ściana utyka się jeszcze mchem, aby ciepło z chaty nie uchodziło a dach robi się z grubych tarcic; kiedy tymczasem lapońskie chaty mają kształt okrągły w ostrosłup zakończony, składają się z ubitych w ziemię żerdzi, powleczonych grubem suknem szwedzkiem, skórami lub po prostu jodłowemi gałęziami; wewnątrz wyścielają chatę futrami, ognisko jest na środku. Pełno tam dymu, a ciepła nie wiele; w takiej jednej izbie mieści się cała rodzina i całe gospodarstwo.

Lapończykowie nie potrzebują tyle miejsca co my; zamiast łóżek i krzeseł, mają posłanie z jedliny pokryte skórami reniferów; wszystko w jednym kotle gotują i wszyscy z jednego kotła jedzą, i nie czując swej nędzy, nie myślą o tem, że mogłoby im być lepiej. Zresztą, przenosząc się często z miejsca na miejsce, nie mogliby tych różnych gratów za sobą wozić, muszą więc poprzestawać na rzeczach do życia niezbędnie potrzebnych. Rozebrawszy dom i zabrawszy wszystko co się w nim znajduje, Lapończyk pakuje to na sanie, zaprzęga renifery i pędzi po śnieżystym stepie, gdzie go potrzeba wyżywienia prowadzi. Sanie ich mają kształt łodzi, a w potrzebie służyć mogą za jedne i za drugie. Lapończyki tak jak Sybiracy

doskonale się ślizgają na łyżwach, podobnych do obówia Samojedów. Przywiązują do każdej nogi wązką deskę, długą na półtora do dwóch łokci, z przodu śpiczasto zaciosaną i zagiętą do góry, jak przód łódki, aby się w śnieg nie wryła: potem w każdą rękę biorą kij zakończony poziomem kołkiem żeby się mógł na śniegu opierać, i taką dopiero ślizgawką puszczają się po lodach i zaspach śniegowych, pędzą lotem strzały i doganiają czasem w biegu umykającego wilka lub niedźwiedzia.

Szwedzi i Duńczycy, jako dobrzy chrześcianie, wiele sobie pracy zadawali, żeby sąsiadów swoich Lapończyków oświecić i religję chrześcijańską u nich zaszczepić, lecz pomimo tego dużo tam jeszcze błędów pogańskich pozostało. I trudno się temu dziwić, kiedy u nas chrześcian, co już tyle niby wieków nawróceni jesteśmy, tyle jeszcze nie chrześciańskich obyczajów i pogańskich błędów się przechowało.

Chociaż pilno było żeglarzom holenderskim dostać się do portowego miasta Kola, zatrzymali się jednak dni parę u gościnnych lubo nieokrzesanych Lapończyków. Posiliwszy się u nich świeżą rybą i zupą z mąki, poszli przejrzeć okolicę, ale znajdując wszędzie kraj smutny i pusty, wsiedli na łodzie i popłynęli dalej. Gwałtowny wicher zmusił ich wysiąść na ląd, z obawy, żeby się zanadto od ziemi nie oddalili, tam dowiedzieli się od Lapończyków, że już tylko mil parę mają do Kola, gdzie się obecnie znajdują trzy holenderskie statki, z których jeden miał właśnie odpłynąć. Uradowany kapitan wysłał natychmiast jednego majtka w towarzystwie Lapończyka do Kola, aby zatrzymać ów okręt który miał odpłynąć do Holandji. Ci dwaj ludzie jadąc bez przeszkody saniami unoszonemi pędem strzały przez reniferów, prędzej stanąć mogli lądem na miejscu, niż płynąc morzem wśród lodów i przeciwnych wiatrów. Wiedział o tem kapitan, dlatego wyprawiwszy posłańców, sam postanowił zaczekać. Po trzech dniach, wrócił Lapończyk bez swego towarzysza i oddał list kapitanowi holenderskiemu. W liście tym była radośna wiadomość, że istotnie niedaleko jest okręt. Udali się tedy tam nasi żeglarze i po tylu trudach stanęli w swojej ojczyźnie, dziękując Bogu za ratunek.

Z drukarni odpowiedzialnego redaktora i wydawcy: E. Winiarza.